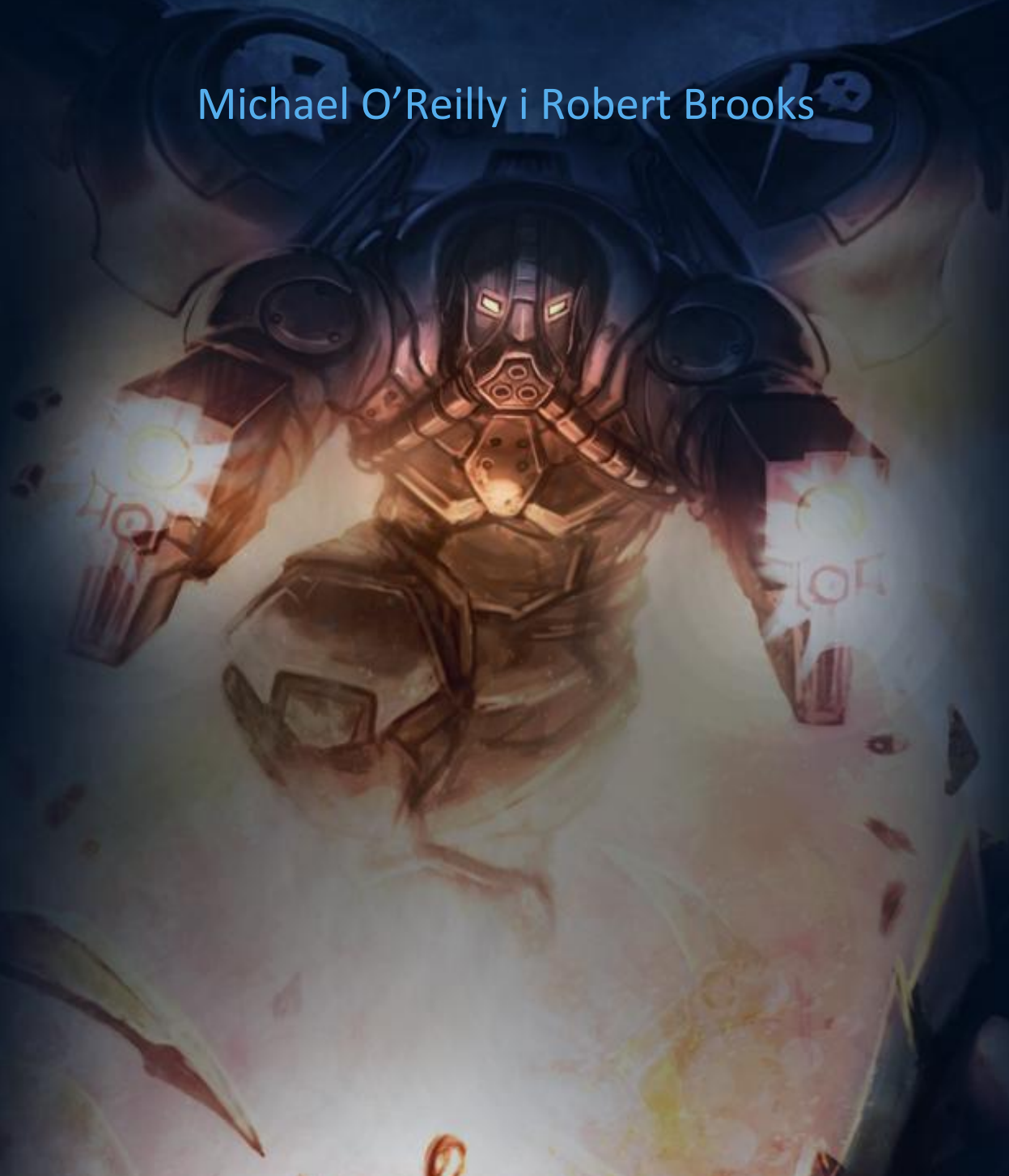




LODOWNIA

Michael O'Reilly i Robert Brooks



Do śmierci prowadzi wiele dróg. Do zwycięstwa – tylko jedna. – Pierwsza reguła Lodowni

Gabriel Feltz nie mógł oddychać. Powietrze z filtrów śmierdziało gorącymi odpadami, a na dodatek stawało się jeszcze gorsze wraz z każdym kolejnym oddechem pozostałych dwudziestu czterech nieszczęsnych drani, zgromadzonych w ładowni. Leżeli w mroku na twardej podłodze, a drgania statku przenosiły się na ich ciała. W ciągu ostatnich dni Gabrielowi udało się przespać nie więcej niż kilka minut.

Drżenie ustało wraz z silnym, głuchym odgłosem, na który sporo pasażerów zareagowało krzykiem. Otworzyły się drzwi, a do pomieszczenia wpadły strumienie światła. Poczucie ulgi zostało stłumione przez falę lodowatego powietrza, która uderzyła w ludzi na pokładzie niczym pięść, przebiła skórę i utrudniła oddychanie. Wydawało im się, jakby na zewnątrz nie było nic oprócz światła i zapachu śniegu.

Nie minęła chwila, a w drzwiach pojawił się szeroki cień. Wszyscy wiedzieli, kto to był. Miał metr osiemdziesiąt i trzymał olbrzymi karabin. Wymierzył go w ich stronę i krzyknął:

– Wstawać! Macie czterdzieści sekund, żeby nie zamarznąć! Ruszać się!

Gabriel zaczął iść z całą resztą, szurając nogami i zasłaniając oczy przed latającymi na wietrze kawałkami lodu. Kiedy zeskoczył z rampy i wylądował w półmetrowym śniegu, aż krzyknął. Grupa strażników w pancerzach bojowych zagoniła więźniów do masywnych wrót, stojących przed nimi otworem niczym brama do piekła. Ze środka biło ciepło, więc dali się tam wprowadzić.

Kiedy tylko wrota się zamknęły, reflektory rozświetliły ich nowy dom. Bez wątplenia zbudowali go ludzie – wydawał się cały ze stali i kabli. Korytarz prowadził dalej w nieznaną. Jeden ze

strażników wydał przypominający warknięcie rozkaz i przybyli zaczęli iść, aż trafili na parę drzwi. Znaleźli się w rozległej hali, która mogłaby pomieścić nawet pięćset osób.

– W szeregu! – krzyknął strażnik. – Naczelnik przeprowadzi inspekcję!

Naczelnik Kejora stał na środku sali zwanej „Rdzeniem”. Splótszy ręce za plecami wpatrywał się w dziesiątki ekranów. Każdy pokazywał nowo przybyłych. Żaden z tych ludzi mu się nie podobał. I to bynajmniej naczelnika nie dziwiło. Niewielki odsetek ludzkości w pewnym stopniu był odporny na resocjalizację, ale nawet z tej niewielkiej grupy do programu Kejory i tak trafiały najgorsze szumowiny: piraci, drobni oszuści, mordercy. I może z jeden lub dwóch politycznych dysydentów.

Nie po raz pierwszy przyszła mu do głowy myśl, aby ich wszystkich rozstrzelać. Nie leżało to jednak w jego kompetencjach. Imperator Mengsk chciał żniwiarzy i – zgodnie z życzeniem – żniwiarzy dostanie.

– Powiedźcie mi o tamtym – rzekł Kejora, wskazując palcem. – Siódmy w szeregu.

Chodziło o niskiego, niedożywionego młodzieńca, a właściwie jeszcze chłopca. Jego głowę i nagie barki znaczyły ślady poparzenia kwasem, a na przedramionach krzyżowały się liczne blizny. Spoglądające z poobijanej twarzy oczy wyglądały, jakby należały do protosa – były szeroko otwarte i pozbawione wyrazu.

Odpowiedzi udzielił jeden z analityków w stopniu chorążego. – Szeregowy Samuel Lords, dwadzieścia dwa lata. Liczne napaści, niewłaściwe stosowanie wyposażenia wojskowego i zniszczenie własności armii. Sześć morderstw. Jego profil psychologiczny to cholernie ciekawa lektura, panie naczelniku.

– Wyobrażam sobie. Jak się dorobił tych blizn?

– Blizny na głowie to pamiątka z pobytu na planecie opanowanej przez zergi. Był jednym z pierwszych, których rzucono do ataku na skupisko uli. Operacja nie była należycie zaplanowana i cały oddział został zakażony biotoksynami. Jakimś cudem udało mu się przeżyć. Pozostałe rany zadał sobie sam.

Kejora powiększył obraz z kamery, aby lepiej przyjrzeć się wzorowi, jaki na głowie Lordsa tworzył pas zniszczonej tkanki, rozmyślając jednocześnie o występkach więźnia. Kto wie, jak wiele synaps przeżarła trucizna obcych. Zmieniła tego chłopaka w golema. Trening wykaże, ile będzie z niego pożytku. Naczelnik oddalił obraz i podniósł wzrok na resztę grupy.

Większość więźniów patrzyła przed siebie albo w podłogę. Tylko kilku posyłało strażnikom wyzywające spojrzenia. Ale jeden, który wciąż zerkał na prawo i lewo, był wyraźnie na skraju paniki.

Kejora nigdy nie widział w hali kogoś tak przerażonego. – Do diabła, kto to jest? Dwudziesty w szeregu.

Technicy wystukali w komputerach odpowiednią komendę, ale po upływie kilku minut wciąż nie odezwali się ani słowem. Naczelnik odwrócił się i zobaczył, że trójka z nich tłoczyła się przy jednym monitorze.

– Co się dzieje?

– Prawie nic o nim nie mamy, panie naczelniku. Nazywa się Gabriel Feltz. Został zgarnięty z kolonialnego przyczółka. Żadnego wyroku, żadnych szczegółów, nie wspominając już o teście nerwowym.

Kejora zmarszczył brwi. Nie pierwszy raz jakiś gryziپیórek olał papierkową robotę. – Wyślijcie prośbę na Korhal. Potrzebujemy więcej informacji.

– Odpowiedź zajmie im co najmniej jeden dzień. Czy mamy wycofać Feltza z szeregu?

– Nie. Dajcie mnie na głośniki. – Przed mikrofonem stojącym na środku "Rdzenia" zapaliło się żółte światło.

W hali rozległ się głos Kejory. – Witajcie w systemie Torusa, więźniowie. Jesteście tutaj, ponieważ nikt inny nie chce mieć z wami do czynienia, jak galaktyka długa i szeroka. To wasza ostatnia szansa, aby przysłużyć się Dominium. Obowiązuje tu kilka reguł, które jednak można sprowadzić do jednej podstawowej: albo staniecie się żniwiarzami, albo zginiecie. Wybór należy do was.

Zwycięstwo jest warte każdej ceny, a ta jest zawsze wysoka. – Druga reguła Lodowni

Po stojących w szeregu więźniach przebiegło drżenie. Kejorze sprawiało to zawsze dużo satysfakcji.

– Trening zaczyna się po waszym następnym cyklu snu. Skończy się, kiedy tak powiem – przerwał, po czym dokończył. – Witajcie w Lodowni.

Strażnicy wskazali więźniom drogę przez kolejne drzwi i w głąb kompleksu.

Kiedy wszyscy przekroczyli próg, strażnicy zamknęli ciężkie wrota. Niektórzy więźniowie rozejrzeli się w poszukiwaniu nowych opiekunów. W zagłębieniach wzdłuż korytarza

rozmieszczono roboty – przewyższały ludzi o głowę, były opancerzone i uzbrojone w dwa działka Gaussa. Maszyny ani drgnęły, ale Gabriel ujrzał w wyobraźni, że wystarczy, aby koła w gąsienicach zaczęły się obracać i wprawiły automatycznych strażników w ruch.

Nie wyglądało na to, żeby któryś z więźniów chciał się o tym przekonać.

Rozległ się sztuczny, żeński głos. Niektórzy zaczęli narzekać, przeklinając adiutantów i im podobnych. Adiutant wygłosił standardowe formułki: powitał przybyłych w ośrodku szkoleniowym żniwiarzy i wyraził nadzieję, że wniosą wartościowy wkład do historii Dominium. Młodzieniec z naznaczoną bliznami głową tylko roześmiał się ponuro.

Adiutant opisał kompleks radosnym tonem, jakby czytał broszurę z ofertą wakacyjną. Niemalże sprawił, że miejsce to zaczęło wydawać się atrakcyjne. Nie trzeba było jednak daleko szukać, aby przekonać się, że sprawy przybiorą zły obrót. Powietrze było suche i chłodne, a na dodatek śmierdziało spalonym mięsem. Na panelu na jednej ze ścian widniała wyschnięta, czerwona plama... – nie trzeba było nawet zgadywać, co to było.

Wrażenie, że jest się pod obserwacją, było wręcz namacalne. Gabriel spojrzął w górę. Skupiska czujników rozmieszczono na całym suficie: sensory ciepła, wykrywacze ruchu, kamery i kto wie, co jeszcze. Nie ma to jak prywatność.

W końcu więźniowie dotarli do kwater mieszkalnych. Okazało się, że znajdują się tutaj cele – które nie były puste. Około stu mężczyzn, którzy zapewne przylecieli tylko kilka godzin wcześniej, wyszło nowym na spotkanie.

Gabriel wiedział, że nie należy się spodziewać niczego dobrego. Starał się nie rzucać w oczy. Ktoś na pewno zostanie poddany ocenie, wyzwany, a potem przykładowie ukarany. Jak na zawołanie, do więźniów podszedł wysoki jak tyka i szeroki w barach mężczyzna, uśmiechając się szyderczo.

– Cóż my tu mamy? – jego głos był szorstki i nieprzyjemny.

Wszyscy spoglądali na ofiarę, jaką wybrał sobie bydlak – chłopaka z bliznami. Wielkolud wciąż uśmiechał się jak krokodyl i wyraźnie nie mógł się doczekać, aż wyprowadzi pierwszy cios – najpierw jednak chciał się pobawić.

– Skąd jesteś, karzełku?

– Nie wiem – odpowiedź była pozbawiona strachu i jakichkolwiek emocji.

– *Nie wiem* – zaczął go przedrzeźniać wielkolud, wywołując u swoich towarzyszy wredny śmiech. – A jak ci na imię? Chyba nie jesteś na tyle głupi, żeby tego nie wiedzieć?

– Lisk.

Gabriel dostał gęsiej skórki.

Więźniowie muszą zapłacić cenę za swoje przetrwanie. – Trzecia reguła Lodowni

– Och tak? Jesteś może mutaliskiem? Spójrzcie no na niego. Chyba potrzebuje nowego imienia. Może *Kartolisk*. Mały szczur... Co do...

Gabriel nie dostrzegł, co takiego zobaczył olbrzym, ale innym się udało i bynajmniej nie było im do śmiechu. Właśnie wtedy chłopak zareagował. Uderzył drania mocno w brzuch, tępak aż zgiął się wpół, po czym upadł po serii szybkich kopniaków w bok. Zaczął cicho kwilić.

Chłopak rozejrzał się z uśmiechem. Był to uśmiech potwora – ohydny grymas odsłaniający zaostrome zęby i porozrywane dziąsła.

– Po prostu Lisk.

Cykl snu nie trwał długo. Dźwięk alarmu rozbrzmiewał im w głowach, dopóki wszyscy więźniowie nie opuścili cel.

Zostali zabrani do kantyny, gdzie maszyna wydała im porcję pierwszego posiłku – nienaturalnej papki, mieszaniny środków odżywczych i Bóg wie, czego jeszcze. Nie miała smaku, nawet nie zaspokajała głodu – ale dostali tylko to. Ledwie Gabriel zaczął jeść, większy więzień zabrał mu miskę. Feltz postanowił, że nie będzie robił z tego problemu.

Podczas posiłku nikt nie zbliżył się do Liska, któremu papka wylewała się z ust przez szpary pomiędzy zębami.

Adiutant zaprosił więźniów z powrotem do głównej hali, którą przekształcono w lekkoatletyczną arenę w godnym sadysty wydaniu. Kazano im biegać, skakać, wyginać się, rozciągać, przyspieszać i łapać przedmioty w locie – ciągle od nowa. Motywację do wysiłku stanowiło kilka działek strażniczych.

Gdy pierwszy dzień dobiegł końca, każdy z mężczyzn był wyczerpany, poobijaną kupą mięśni i marzył jedynie o odpoczynku.

A miało być jeszcze gorzej.

Dni zlewały się ze sobą. Brakowało stałego cyklu. Czas snu zależał od kaprysu adiutanta. Jedzenie nigdy się nie zmieniało – w przeciwieństwie do treningu.

Powiedzieć, że maszyny zarządzały Lodownią, to za mało. Cała Lodownia *była* maszyną. W każdym pomieszczeniu znajdowały się różne roboty, a wiele z nich było wykorzystywanych tylko w określonych fazach treningu. Pełniły rolę ruchomych celów, przeszkód i sparingpartnerów, na których można było wypróbować różne techniki walki. Nie pobłażały nikomu i nigdy nie odpuszczały, a więźniowie w żaden sposób nie mogli ich lekceważyć.

Najgorsze były dni w klatkach symulacyjnych. Skazańca doprowadzano do skupiska diod, kabli i pasów, które kształtem przypominało trumnę. Adiutant nakazywał, aby człowiek się tam położył. Odmowa nie wchodziła w grę.

To, co działo się potem, było po prostu koszmarem na jawie. Światła i dźwięki trafiały bezpośrednio do mózgu i były tak dobrane, aby wzbudzać określone odczucia. Gabriel leżał w jednym z tych urządzeń, przeżywając prawdziwą karuzelę emocji. Czuł ekstatyczną radość, paraliżujące przerażenie i rozpacz, które sprawiały, że wolałby się zabić niż dotrzeć do końca.

Każda sesja kończyła się dla więźniów tak samo – wypętlali z symulatora i padali na podłogę, płacząc i panicznie się trzęsąc. Zabieg odcisnął swoje piętno nawet na Lisku, choć w jego oczach odbijał się raczej zapal niż wstręt.

Po trzech tygodniach jeden z mężczyzn się nie obudził. Adiutant rozkazał więźniom opuścić cele. Gabriel dostrzegł leżący na pryczy, drgający wrak człowieka z ustami oblepionymi krwią. Kiedy wrócili, już go nie było.

– Coś jest z tobą nie tak.

Gabriel podniósł wzrok znad stołu. Głos należał do Liska. Szajbus od pierwszego dnia pobytu z nikim nie rozmawiał. – O co ci chodzi?

– Nie jesteś tak przerażony jak powinieneś – Lisk uśmiechnął się szeroko. Przez zaostrome zęby ten uśmiech wyrażał wszystko oprócz radości. – Inni zabierają ci jedzenie. Zajmują ci pryczę. Zmuszają do czekania w kolejce do latryny. Jesteś na samym dole. Powinieneś się bardziej bać.

– Dzięki... chyba. – Gabriel nabrał kolejną łyżkę pozbawionej smaku papki. Nikt inny nie zbliżył się do stołu, odkąd usiadł przy nim Lisk. Może Gabrielowi uda się zjeść dziś całą miskę.

Więźniowie muszą nieustannie zachowywać czujność. Powinni uważać moment spokoju za wojenną zawieruchę, a moment w wirze walki – za chwilę spokoju. – Czwarta reguła Lodowni

– To nie pochlebstwo – odparł Lisk. W jego głosie nie było złości, czuło się raczej wzbudzającą strach ciekawość. – Zachowujesz się jak słabeusz. Wyglądasz na takiego. Ale nie boisz się. Więc tak naprawdę nie jesteś słaby. Ukrywasz się.

Gabriel podejrzewał, że Lisk nie przyjmie do wiadomości zaprzeczenia. – Sądzę, że sytuacja może przybrać gorszy obrót – odpowiedział. – Jeżeli inni mnie zlekceważą, może zyskam przewagę.

Jego słowa zdawały się nie docierać do Liska, który wpatrywał się w jasny, purpurowy siniak na ramieniu Gabriela. – Nie musiałeś posuwać się aż do tego.

Miał rację. Na całej długości ścieżki rozmieszczone były roboty, które strzelały gumowymi kulami. Maszyny poruszały się powoli, nie mogły się schylać ani robić uników, nie wspominając już o skutecznym namierzaniu ruchomego celu. W teorii wykonanie uniku przed nimi powinno być banalnie proste.

Ale jeden z robotów wyświetlił hologram dziecka. Nawet nie trójwymiarowy lub dobrze wygenerowany, jednak wystarczyło, żeby zaskoczyć Feltza i sprawiło, że się zawahał. Za karę maszyna strzeliła mu w ramię.

– Nic nie mogłem na to poradzić – westchnął Gabriel, a na twarzy Liska pojawił się paskudny uśmiech.

– Owszem, mogłeś. Ja to widzę. Oni raczej nie – wskazał na sufit.

Gabriel się roześmiał. – Lisk, czy ktoś ci już powiedział, że jesteś trochę dziwny?

Lisk wzruszył ramionami. – Taki już jestem.

Kejora nie próżnował. Każdego dnia obserwował swoich podopiecznych, organizował zmiany cyklu i nadzorował przygotowywanie porcji odżywczych. Więźniowie nie wiedzieli, że jak dotąd zjedli osiemnaście różnych rodzajów posiłku, z których każdy zawierał inną mieszankę sterydów, neutralizatorów i substancji hamujących wydzielanie hormonów. Trująca mikstura.

Przygotowywanie porcji miało w sobie coś ze zgadywanki. Niezależnie od tego, jak dobrze przebiegało ich podawanie, w początkowych fazach szkolenia zawsze zdarzały się jedna lub dwie porażki.

Naczelnik nadzorował sekcję zwłok więźnia Henisalla. Obserwował jej przebieg i zwrócił się do doktora stojącego obok. – Więc nie masz pojęcia, co go zabiło?

– Podejrzewam, że to była porcja numer siedemnaście, ale nie jestem pewny, w jaki sposób.

– Dobrze, przestawmy ich z powrotem na szesnastą. Nie będziemy używać siedemnastej do uzyskania pełnych wyników analiz.

Doktor kiwnął głową i wyszedł z „Rdzenia”. Kejora ponownie zaczął wpatrywać się w monitory. Więźniowie ustawili się w kolejce po owsiankę o mdłym smaku.

Kilka minut później powtórzyła się scena, którą naczelnik widział wielokrotnie w ostatnich tygodniach: mężczyzna o nazwisku Polekabrał Feltzowi jedzenie. Gabriel nigdy nie zwracał na to uwagi. Nie tym razem.

Kejora niemalże wybuchnął śmiechem, kiedy Feltz wstał i uderzył Poleka w tył głowy. Więźniowie odsunęli się, chwyciwszy miski, gdy tylko dwaj mężczyźni rzucili się do walki. Kantinę zaczęły wstrząsać okrzyki dopingujące bijących się więźniów. Nawet pracujący w „Rdzeniu” technicy zatrzymali się, aby popatrzeć.

Kejora z uwagą obserwował Feltza. Umiejętności rekruta w walce wręcz znacznie się poprawiły, ale i tak nie dawał sobie rady. W młodości Polek brał prawdopodobnie udział w regularnych bójkach, czego Feltz z kolei pewnie nigdy nie doświadczył.

Polek od razu walnął Felza pięścią w twarz, tak mocno, że mniejszy mężczyzna się zachwiał. Kolejne trzy szybkie uderzenia i Feltz leżał. Polek przyszpilił go do podłogi. Feltz nie miał już szans na wygraną. Cięższy od niego przeciwnik odbił jego ręce i zaczął go okładać jak worek treningowy. Więźniowie podjudzali Poleka jeszcze bardziej. Krótko mówiąc, regularna masakra.

Twarz Kejory przybrała surowy wyraz. Zasady postępowania nakazywały mu nie interweniować. *Moment spokoju należy uważać za wojenną zawieruchę, a moment w wirze walki – za chwilę spokoju.* Jeśli Feltz nie radził sobie w bójce, nie nadawał się na żniwiarza.

Wróg jest twoim najlepszym nauczycielem. Ucz się pilnie. – Piąta reguła Lodowni

Ale to Kejora sformułował te zasady. Postanowił, że mógłby zrobić wyjątek.

Wdusił przycisk i w kantine rozbrzmiały syreny. Przed mikrofonem zapaliła się żółta lampka. – Czas posiłku dobiegł końca. Wracajcie do ćwiczeń. Więźniowie niespiesznie posłuchali rozkazu, a Polek z niechęcią wstał z podłogi. Sformowali szereg i wyszli z kantyny, pozostawiwszy nieruchomego Feltza samemu sobie.

Kejora zwrócił się do jednego z techników. – Chcę, aby oddział medyczny go zabrał i opatrzył. Ma być zdolny do rozmowy.

– Naczelniku?

– Korhal jeszcze nie przesłał odpowiedzi i jestem już zmęczony czekaniem. To nie jest miejsce dla tego człowieka. Chcę wiedzieć, kto miał inne zdanie na ten temat.

* * *

Gabrielowi, gdy tylko się obudził, obrażenia po walce dały się we znaki, ale ból zdawał się odległy niczym drobna sylwetka na horyzoncie. Czuł się dobrze, choć nie mógł się ruszać. Był przywiązany pasami do łóżka, zbyt czystego jak na pryczę więzienną.

– W końcu się obudziłeś.

Gabriel odwrócił się w stronę, skąd dobiegał głos. Zdołał jedynie dostrzec ładne światełko unoszące się wokół niewyraźnej postaci. Mglista, niemożliwa figura zmieniała się z każdym uderzeniem serca.

– Dlaczego jesteś jabłkiem? To nieładnie ze strony jabłka roztopiać się w kostki lodu – zachichotał więzień.

Jego rozmówca parsknął śmiechem. – Ciesz się ze środków przeciwbólowych póki możesz, Feltz – Gabriel usłyszał, jak maszyna wydała cichy syk i poczucie błogości wyparowało w mgnieniu oka. Widok tysiąca tańczących kostek lodu zamienił się w jasno oświetlone pomieszczenie ambulatoryjne i naczelnika Kejorę.

– Lepiej się czujesz?

Gabrielowi serce biło szybko, a w głowie kotłowało się od myśli. Jego czujność wzrosła, a ból nie był już tak odległy. – Nie. W ogóle.

– Przyzwyczajaj się. To ta sama mieszanka, która jest częścią stymulantów bojowych, tylko rozcieńczona, sześciokrotnie albo coś koło tego. Pomaga ci się skupić nawet w nienajlepszych warunkach – naczelnik usiadł obok łóżka. – Więźniowie zazwyczaj muszą zastrzyżyc sobie na opiekę medyczną wyjątkowymi wynikami podczas ćwiczeń, Feltz. Nie byłeś tu wystarczająco długo, żeby brać cię pod uwagę. Ale nagiąłem zasady.

– Pan mi pochwlebia.

– Pan mi pochwlebia, *naczelniku* – poprawił Kejora.

Gabrielowi przemknęło przez głowę, czy by nie zachować się wyzywająco. Wolał nie. – Tak jest, panie naczelniku.

– Moi ludzie mają kilkanaście różnych teorii na temat tego, kim jesteś, Feltz – Kejora świdrował go wzrokiem. – W jednym jesteśmy zgodni: nie nadajesz się do Lodowni. To nie jest miejsce dla inteligentnych, uważnych i okazujących empatię ludzi.

Nigdy nie pozwól, aby wrogowie uśpili twoją czujność. Staraj się ich przejrzeć, a dostrzeżesz zagrożenie. – Szósta reguła Lodowni

Gabrielowi nie udało się ukryć sarkazmu w głosie. – Przykro mi, że pana rozczarowałem, naczelniku.

– Jak to się stało, że tu trafiłeś?

– Co pan ma na myśli, naczelniku?

Naczelnik nachylił się do niego. – Jakie przestępstwo popełniłeś? Dlaczego tu jesteś?

– Nie wie pan? – zdziwił się Gabriel, a potem pospiesznie dodał: – Panie naczelniku?

– Załóżmy, że nie wiem.

– Tak jest, panie naczelniku. – Gabriel zebrał myśli, chociaż wątpił, że to, czy jego historia zabrzmie wiarygodnie, miało jakiegokolwiek znaczenie...

– Półtora roku temu razem z bratem wziąłem udział w projekcie przesiedleńczym. Okazało się, że to była kiepska decyzja.

– Życie przesiedleńca nie jest łatwe.

– Jest *niemożliwe*, jeśli wszystko nadzoruje Dominium. Najpierw musieliśmy sobie radzić z biurokracją, potem ze wstrzymaniem dostaw, a po dwóch miesiącach trzeba było zapędzić pół kolonii do kopalni, żeby malkontentów trzymać pod ziemią przez czternaście godzin dziennie. Mój brat był jednym z nich. Niedługo potem zaginął.

Naczelnik kiwnął głową. – Wtedy postanowiłeś coś z tym zrobić.

– Poszedłem zadać władzom kilka pytań. Urzędnik nie chciał nawet o tym słyszeć, więc zadałem je głośniejszym. Kiedy chciał wyrzucić mnie z pokoju, wylałem mu trochę jego whisky na koszulę. Ochroniarze wzięli mnie w obroty i obudziłem się na statku do Lodowni.

Naczelnik Kejora popatrzył na niego ze zdziwieniem. – Tylko tyle?

– Nie wierzy mi pan.

– Wierzę, że jakiś kolonialny sługus *chciałby* wysłać tutaj kogoś tylko dlatego, że mu poplamiał koszulę. Ale nie wierzę, po prostu, że *mógł* to zrobić. – Kejora popadł w zamyślenie. – Feltz, nie jest łatwo trafić do Lodowni, a ty się tu nie nadajesz.

– Przykro mi, że wprowadzam tyle zamieszania, naczelniku. Co pan zamierza zrobić?

Kejora się uśmiechnął. – Nic.

– Jak to?

– Dominium potrzebuje żniwiarzy. Mnie to wystarczy.

– To jest... Naczelniku... – wydusił Gabriel.

– Hola, zwolnijcie trochę, więźniu. Tworzymy tu żniwiarzy z *niczego*. Większość twoich towarzyszy z bloku więziennego nie jest nawet warta poniesionych kosztów transportu, ale mimo to dajemy im szansę. Może zaledwie dziesięć albo piętnaście procent staje na wysokości zadania. Reszta nie – co zresztą nie jest żadną stratą.

– Ale ty... – ciągnął Kejora – ty masz trochę więcej oleju w głowie. Do dziś unikałeś starć, których nie mogłeś wygrać. Brutalna siła to nie wszystko. Jeżeli poradzisz sobie z tym wyzwaniem, staniesz się jednym z najlepszych żołnierzy w całym wojsku. Moi żniwiarze otrzymali pochwały od najbardziej szanowanych dowódców Dominium. Za każdym razem, gdy biorą udział w walce, wywołują u wrogów paniczny strach. Wiesz dlaczego?

– Bo robią to, co do nich należy – wyszeptał Gabriel.

– Właśnie. – Kejora wstał. – Weź sobie do serca te słowa. Ćwicz i walcz jak inni, jeżeli chcesz żyć, a uda ci się przejść przez program szkoleniowy.

– To takie proste, tak?

Kejora zignorował brak „naczelnika” na końcu zdania. – Wznowisz szkolenie w ciągu dwóch dni. Radzę znaleźć znajomych, którzy obronią cię, gdy ktoś cię będzie chciał pobić.

Gabriel poczekał, aż Kejora dojdzie do drzwi. – Zrobię to, co do mnie należy, *naczelniku*. – Ton jego głosu sprawił, że nadzorca Lodowni się odwrócił.

– Zobaczymy.

Gabriel czuł, że kamery i sensory nieustannie śledzą każdy jego ruch. Udało mu się uniknąć dalszych konfrontacji z Polekiem, a Lisk pomógł mu odstraszyć pozostałych chętnych do bójki.

Po upływie trzech miesięcy adiutant poprowadził ich do pomieszczenia, w którym jeszcze nigdy nie byli. W Lodowni nie mogli liczyć na bardziej wyjątkowy moment. W długim, wąskim pomieszczeniu stały rzędy opancerzonych kombinezonów. Były mniejsze i smuklejsze od pancerzy CMC marines, ale na plecach każdego zamontowano w nich silniki rakietowe. Nawet kiedy wisały w magazynie, wydawało się, że zaraz wzniosą się w powietrze. Lisk uśmiechnął się na ich widok.

Kiedy adiutant rozkazał, aby więźniowie włożyli kombinezony, nikt nie zażartował. Zapał wziął górę. W ciągu kilku minut rozpoczęła się kolejna faza szkolenia, a warunki w Lodowni – już i tak złe – stały się jeszcze gorsze.

Pierwszym wyzwaniem okazały się silniki rakietowe. Więźniowie z początku ich nie kontrolowali. Obsługą zajmował się adiutant, któremu najwyraźniej wielką przyjemność sprawiało zwiększanie mocy w najgorszym możliwym momencie, przez co rekruci – dopóki nie nauczyli się sterować – uderzali wprost w sufit lub w ściany. Wstrząsy były na porządku dziennym. Dwóch mężczyzn zmarło na skutek pęknięcia czaszki.

Reszta zaczęła się szkolić w obsłudze nowej broni. Pistolet Gaussa P-45 „Kosa” był małym, szybkostrzelnym potworem. Kombinezon ledwo amortyzował jego siłę odrzutu. Strzelnica została rozniesiona na kawałki. Kilku więźniów zginęło od strzałów towarzyszy.

Kiedy ci, co przeżyli, osiągnęli wskaźnik celności równy siedemdziesięciu pięciu procentom, adiutant złożył im gratulacje... po czym poprosił o używanie dwóch pistoletów naraz.

Ostatnim etapem szkolenia były ładunki wybuchowe D-8, stosowane do wysadzania budynków. Miały wystarczająco dużą moc, aby roznieść na drobne kawałki mniej uważnych. Skazańcy musieli przygotowywać i rozbrajać bomby, ale warunki były ekstremalne, a tempo nieubłagane. Szkolili się w ogłuszającym hałasie, w absolutnych ciemnościach lub przy oślepiającym świetle, a

nawet w pomieszczeniach z zerową grawitacją. Liczba rannych i ofiar śmiertelnych szybko zaczęła rosnąć.

Więźniowie nie dawali jednak za wygraną. Niektórzy ginęli w akcji, innych znajdowano martwych w celi, tak jak Henisalla. Kilku popełniło samobójstwo. Gabriel walczył. Nie miał innego wyjścia.

Do rutynowego planu dnia Kejora dodał nowe zajęcie. Przed zgaszeniem świateł przeglądał zapis ze szkolenia Gabriela Feltza. Nie mógł sobie wytłumaczyć, dlaczego to robił. A może jednak mógł, ale nie był gotowy do tego się przyznać.

Ostatnie dwa lata w systemie Torusa były owocne i satysfakcjonujące. Po opuszczeniu Lodowni żniwiarze udawali się tam, gdzie byli najbardziej potrzebni, i chronili interesy Dominium niosąc śmierć i pożogę. Do Lodowni stopniowo spływały medale i pochwały – wiele z nich przyznano pośmiertnie i w tajemnicy – a nazwiska wyróżnionych powiększały coraz dłuższą listę sukcesów.

Ale nigdy dotąd do Lodowni nie trafił niewinny człowiek – Kejora obserwował więc Feltza i coraz bardziej się martwił. Taka sytuacja stanowiła zagrożenie – niewielkie, ale mimo wszystko zagrożenie. Co by było, gdyby ktoś się dowiedział? Co by było, gdyby historia Gabriela Feltza, kolonisty, który miał paskudnego pecha, trafiła na czołówki wiadomości telewizyjnych UNN? Nawet ci gadający lalusie byliby gotowi zaryzykować dla tak gorącego newsa i wywołać oburzenie władz.

Nie można było wykluczyć prawdopodobieństwa przecieku. Przecież ktoś już złamał protokół – Feltz nigdy nie powinien był tu trafić. Kejora wciąż nie znalazł odpowiedzialnej za to osoby. Władze kolonii nie odpowiadały na próby kontaktu, a rejestry komputerowe wskazywały, że tak naprawdę nikt nie wydał rozkazu o przeniesieniu Feltza.

Uwagi techników też nie ułatwiały sprawy. Charakter Feltza wywoływał wiele dyskusji. Jego zachowanie się zmieniło. Przestał być samotnikiem i nawiązał relacje z innymi więźniami, zwłaszcza z Lordsem, który sam siebie nazywał „Liskiem”. Razem spożywali każdy posiłek i tworzyli zespół podczas ćwiczeń i meczów sparingowych. Dla większości obserwatorów szybko stali się przyjaciółmi.

Kejora przymknął oko na spekulacje techników i nie wspominał słowem o radzie, jakiej udzielił rekrutowi. Feltz wiedział, że trzymanie się z najbardziej przerażającym człowiekiem w Lodowni chroniło go przed co bardziej nieprzychylnymi członkami grupy szkoleniowej.

Mimo to... Feltz czynił postępy. I to znaczne. Co więcej, wykazywał niezwykle predyspozycje do taktyki i strategii. Potencjalne cechy przywódcy. Co by było, gdyby zasilił szeregi żniwiarzy?

Byłby udanym eksperymentem – zdał sobie sprawę Kejora. Feltz stałby się żywym dowodem na to, że program żniwiarzy potrzebował zdolnych, inteligentnych rekrutów, zamiast wyciskać ostatnie poty z niedorozwiniętych wyrzutków. Na pierwszej linii frontu istniało duże zapotrzebowanie na żniwiarzy, ale gdyby byli oni jeszcze lepsi, każdy dowódca Dominium zażądałby, aby Kejora dostawał wyselekcjonowanych rekrutów.

Krótko mówiąc, gdyby Feltzowi się powiodło, zapoczątkowałby nowy rozdział w historii działań wojennych Dominium.

Kejora zapisał ostatnie spostrzeżenia i zamknął akta Gabriela Feltza. Dziś miał rozpocząć się ostatni etap szkolenia obecnej grupy więźniów. – Dzień wręczenia dyplomów – uśmiechnął się naczelnik pod nosem.

Wydał rozkaz personelowi Lodowni.

– Zdali ostatni egzamin. Doprawcie następną porcję jedzenia i za dwie godziny aktywujcie wszystkich drapieźców. Czas rozgrzać Lodownię.

– Coś się szykuje, człowieku.

Gabriel uśmiechnął się do Liska. – Mówisz tak od dwóch dni.

Lisk połknął kolejną szarą grudę jedzenia. – Wiesz, co mam na myśli.

Gabriel musiał przyznać, że Lisk prawdopodobnie miał rację. Rytm szkolenia się ustabilizował. Mieli nawet wystarczająco dużo wolnego czasu, aby w ciągu ostatnich dwóch dni należycie się wyspać. Nie wróżyło to niczego dobrego.

Lisk uderzył płaską dłonią w stół, aż podskoczyła jego na wpół opróżniona miska. – Dłużej tego nie zniosę.

Gabriel wzdrygnął się. – Wiem.

– Nie, nie wiesz! – Lisk poderwał się od stołu, warcząc. – Nikt z was nie wie. A zwłaszcza ty! Ciebie zabiję jako pierwszego, tu i teraz!

Gabriel zerwał się na równe nogi i cofnął na bezpieczną odległość. Lisk nie był sobą. Gdyby się nie zamknął, Gabriel musiałby pewnie kopnąć go w zęby i wyrwać mu głowę, a potem zabrać się za masakrowanie wszystkich innych rekrutów, dopóki nie pozostałby sam tylko przy życiu.

Co? Gabriel raptownie odzyskał przytomność umysłu.

Szaleństwo ogarnęło całą kantinę. Pięści się zacisnęły, a twarze wykrzywiły grymasy gniewu. Zaczęło się od poszturchiwań i chwytów, a po kilku sekundach w ruch poszły także pięści. Lisk wyglądał, jakby stracił koncentrację – szukał jak szalony kogoś, z kim mógłby się zmierzyć, głośno zgrzytając zębami.

Gabriel spojrzął na swoją miskę. *No jasne. Jedzenie.* To musiał być kolejny podstęp Kejory. Wściekłość rozlała się Feltzowi w piersi niczym jad, a na twarzy mimowolnie pojawił się groźny grymas. Kejora za to zapłaci. Krwią. Za wszystko: za szkolenie, za tych, którzy zginęli, ale przede wszystkim za Dennisa...

Przestań! Gabriel siłą woli zdusił w sobie gniew. – Lisk! Opanuj się! To jedzenie! To tylko jedzenie!

Lisk nie słuchał. Chodził w kółko, jak zwierzę w klatce. Gabriel chwycił go za ramiona.

– Jedzenie jest czymś nafaszerowane! – Lisk kręcił głową, ale Gabriel nie dawał za wygraną. – Nie ma tu żadnego zerga, prawda? Nie ma nic gorszego od zergów! Sam mi to powiedziałaś!

Oczy Liska skupiły się na Gabrielu. – Ta – wydusił z trudem. – Nie ma nic gorszego od zergów...

Gabriel omal nie zemdlął z ulgi. Kejora chciał, aby skazańcy byli podminowani i źli, ale wciąż zdolni do panowania nad sobą. To musiała być część jakiejś nowej próby. Co jeszcze miało się wydarzyć?

Kantina powoli się wyludniała, w miarę jak więźniowie kierowali się do drzwi, krzycząc i wymachując rękoma. Kilku zwlekało z wyjściem, wśród nich Polek. Gabriel przyciągnął do niego Liska, nie ulegając złości, jaką w sobie czuł. – My też musimy się stąd wynosić.

Polek uśmiechnął się szyderczo. – Odkąd to wypełniamy twoje rozkazy, karzełku?

Gabriel wskazał za siebie kciukiem. – Chcesz skończyć tak jak oni?

Siedmiu więźniów zareagowało bardzo, ale to bardzo źle. Czterech leżało już martwych od wielokrotnych uderzeń w głowę; kolejny kurczowo zaciskał palce na swojej zmasakrowanej twarzy. Pozostali dwaj próbowali udusić się nawzajem. Nawet Polek był zniesmaczony tym widokiem.

– Chodźcie, musimy się stąd wynieść. – Gabriel poprowadził ich do wyjścia.

Zostawili za sobą szaleństwo kantyny i trafili do rozświetlonego migoczącymi lampami korytarza. W całym kompleksie zadudnił głos adiutanta. – Wszyscy rekruci udadzą się do zbrojowni od I do VIII i przygotują do walki. To nie są ćwiczenia. Powtarzam...

– Jesteśmy teraz oddziałami porządkowymi? – zapytał ktoś.

Gabriel obracał głowę na wszystkie strony, wypatrując nowych zagrożeń. – To są wciąż ćwiczenia. Bądźcie czujni.

– Ej! Słyszysz to?

Stalowe pazury zastukały o podłogę.

Coś przykucnęło w dalszej części korytarza. Wyglądało i poruszało się jak kot, ale w rzeczywistości było maszyną wielkości sępa. Obróciło swój przypominający pocisk łeb w kierunku więźniów i otworzyło metalową paszczę. Mrozący krew w żyłach pisk przeszył uszy ludzi.

– Uciekajcie!

Zaczęli pędzić korytarzami co sił w nogach. Tuż za sobą słyszeli stukot metalowych łap. Jeden z mężczyzn był na tyle głupi, że się obejrzał. Mechaniczna bestia dorwała go w mgnieniu oka i zatrzęsnęła szczęki na jego piersi.

Narzuć wrogom warunki walki. Spraw, aby nie mieli innego wyjścia, jak tylko stawić ci czoła na twoich warunkach – Siódma reguła Lodowni

Pozostali nie stracili głowy i biegli przed siebie, dopóki nie ukazały się otwarte drzwi zbrojowni. Rzucili się do środka, jakby były to bramy raju.

– Zamykajcie!

Drzwi zaczęły się zamykać – zbyt powoli. Maszyna rzuciła się w lukę i choć nie zdołała dostać się do środka, udało się jej precyzyjnie poplamiony krwią łeb i rytmicznie kłapała przerażającą szczęką. Polek wy dobył w końcu z jednego ze stojaków broń i wpakował w robota cały magazynek. Rozerwał automat na kawałki niczym papier.

Gabriel wskazał na wejście, zanim Polek zaczął się przechwalać. – Nadchodzi więcej tych skurczybyków! – Nie mógł wyrazić tego lepiej; w stronę garstki ludzi pędziła już chmara maszyn. Gabriel odepchnął zniszczone pozostałości mechanicznego kota, dzięki czemu drzwi szczelnie się zamknęły. Z drugiej strony dało się usłyszeć głośnie uderzenie, po czym zgrzytanie metalu trącego o metal. Aż wreszcie stłumiona kakofonia ryków, przywodząca na myśl wszystkie możliwe do wyobrażenia potwory.

– Co teraz? – zapytał Lisk.

Gabriel rozejrzał się po zbrojowni. Były tu kombinezony żniwiarzy, pistolety, ładunki D-8, a nawet specjalistyczne urządzenia do wstrzykiwania stymulantów.

– Co teraz? Zrobimy, co do nas należy.

Kejora spojrział na dane przesyłane mu przez techników. Czterech rekrutów zginęło w ciągu pierwszej minuty. Pierwsze dziesięć minut to z kolei dwanaście ofiar. Zdarzały się gorsze początki.

Wzmocnione jedzenie zadziało. Spodziewał się, że Gabriel Feltz będzie jedną z pierwszych ofiar. Zdziwił się więc, gdy zobaczył, że pozostali przy życiu więźniowie zaakceptowali go jako swojego przywódcę. Wyniki tego egzaminu warte będą uwagi.

Kejora złożył palce w piramidę i wpatrzył się w monitory. Dziesiątki rekrutów w całej Lodowni walczyło o życie, podczas gdy personel schował się w tajnych schronach. Drzwi do „Rdzenia”, zwykle otwarte aż do głównego korytarza, teraz zostały zamknięte na długo przez rozpoczęciem ćwiczeń, przez co stały się niedostępne zarówno dla rekrutów, jak i dla maszyn.

Więźniowie powoli wychodzili ze zbrojowni. Teraz rozpoczynał się prawdziwy test, w którym główną rolę odgrywały zastępy drapieżców posłuszne tylko jednemu poleceniu: atakować wszystko, co miało puls.

Gdy tylko rekruci zaczęli rozchodzić się po korytarzach, zadźwięczał jeden z monitorów. Feltz wyszedł w kombinezonie RP17. Łącznie czterdziestu mężczyzn było uzbrojonych i gotowych do walki. Jednak co trzeci poruszał się samotnie – nie mógł więc długo przetrwać po wypuszczeniu kolejnej fali robotów. A rekrutów czekały gorsze rzeczy niż mechaniczne koty.

– Nie ma tu zergów!

Tuż za nim wyrósł inny mechaniczny stwór, przypominający hydryliska. Robot wymachiwał podobnymi do kos kończynami. Lisk zaczął do niego strzelać, krzycząc jak dziecko. Nie przestał nawet wtedy, gdy robot przewrócił się i rozpadł na kawałki.

– To nie zergi! Tu nie ma zergów!

Pozostali nie zwracali na niego uwagi i strzelali dalej. Nie było czasu, aby uspokoić Liska. Za dużo sztucznych zergów pchało się pod lufy.

Przebili sobie drogę ucieczki ze zbrojowni, ale maszyny szybko uzupełniały poniesione straty. Ludzie mieli innego wyjścia, jak tylko biec, skakać, wykonywać uniki i strzelać do wszystkiego, co się rusza. Gabriel i jego drużyna znaczyli swoje przejście stosami łusek i złomu.

Roboty były zbyt wolne, zbyt niezdarne, zbyt niedoświadczone, aby ich zatrzymać. Choć ciało Gabriela przeszywał ból, a płuca się buntowały, kochał każdy moment tej walki. Gdy Kejora mówił o wyzwaniu, nie żartował. Zadanie było ciężkie, ale wykonalne. Gabriel z pewnością da sobie radę.

Ale najpierw musiał coś zrobić. Zaczął strzelać w sufit.

Kejora wpatrywał się w ekrany monitorów, które niespodziewanie zgasły. – Co się stało?

– Straciliśmy sygnały z sensorów w całym korytarzu. Nie mamy podglądu na sekcję L4.

Naczelnik zaklął. To tam znajdował się Feltz.

– Naczelniku, jedna z grup w kombinezonach żniwiarzy zniknęła.

Kejora spojrział na ekran z informacjami. Wśród jej członków był RP17. – Zginęli?

– Trudno powiedzieć. Straciliśmy wszystkie dane.

– Skoro tak, chorąży – Kejora uzbroił się w cierpliwość – czy możecie mi powiedzieć, jakie były odczyty, *zanim* rekruci zniknęli?

– Przyspieszone bicie serca i podwyższone ciśnienie tętnicze, znaczne wzburzenie... nic nadzwyczajnego.

Przynajmniej jak na to ćwiczenie. Kejora potrząsnął głową.

– Zanotowano jakieś odchylenia od normy w kombinezonie RP17 przed utratą kontaktu?

– Nie, naczelniku, *właściwie nie*.

Kejora wziął głęboki oddech. – *Właściwie nie?* Czy możecie rozwinąć myśl, chorąży?

Podwładny Kejory z trudem przełknął ślinę, pot wystąpił mu na czoło.

– Taaa... tak jest, panie naczelniku. Przed zniknięciem z ekranów przeładował broń, a tempo bicia jego serca nieznacznie zwolniło – powiedział technik. – Był spokojny. Nie sądzę, aby wpadli w zasadzkę...

– *Ciii!* – Kejora machnął ręką, żeby przerwać meldunek. Chorąży zamilkł z ulgą, a Kejora wstał i nastawił uszu. Mógłby przysiąc, że usłyszał syk dochodzący zza wejścia do „Rdzenia”, syk przypominający...

...odgłos wstrzykiwanych stymulantów.

Kejora kopniakiem przewrócił biurko i zanurkował za tę prowizoryczną osłonę. – Na ziemię!

W pomieszczeniu rozległ się huk wystrzałów z dwóch pistoletów Gaussa, a biurko zadrżało od uderzeń kul. Technicy krzyknęli i pożegnali się z życiem, powietrze zgęstniało od oparów miedzi zmieszanej z kordytem.

Kejora wyciągnął z kabury mały, półautomatyczny pistolet – zupełnie nieprzydatny – i czekał, aż zamieszanie dobiegnie końca. Przeciągłe jęki wskazywały, że niektórzy technicy byli wciąż żywi, ale na razie musieli zadbać o siebie sami. Naczelik dobrze się domyślał, kto był za drzwiami.

– Feltz?

Rekrut zaśmiał się, po czym przemówił. W jego głosie brzmiało szaleństwo wywołane przyływem adrenaliny i substancji chemicznych. – Tak jest, panie naczelniku, potwierdzam, melduję się do służby, panie naczelniku.

– Niczego sobie zasadzka, Feltz. Odejmę ci trochę punktów za ujawnienie swojej pozycji. Urządzenie wstrzykujące stymulanty jest głośne, nawet w walce. Ale ogólnie dostaniesz bardzo wysokie noty. – Stymulantowy haj trwał zaledwie kilka sekund. Gdyby tylko Kejora mógł jeszcze czymś zająć tego rekruta...

– Usłyszeć to z pana ust to prawdziwy komplement. – Kolejna ogłuszająca seria z pistoletów wstrząsnęła „Rdzeniem”.

Wrogom należy stawić czoło i skutecznie ich wyeliminować. Cel uświęca środki. Użyj noża, broni palnej, bomby, a nawet pięści. Nigdy się nie wahaj. – Ósma reguła Lodowni

Kejora zachowywał spokój. Pomimo zgiełku usłyszał ciężkie kroki – Feltz zamierzał go zająć z boku. Naczelnik strzelił z pistoletu – na ślepo, zza biurka – nie ryzykując wystawiania głowy, aby lepiej wycelować.

Odgłos kroków ucichł obok rzędu komputerów stojących po drugiej stronie pomieszczenia. Puste magazynki uderzyły o posadzkę.

– Spudłował pan, naczelniku.

– Bystrzak z ciebie. – Kejora przeładował pistolet. – Coś ci leży na sercu, Feltz?

– Leży mi na sercu sprawa mojego brata, *naczelniku*.

Kejora powrócił myślami do rozmowy w ambulatorium. – Ten, który zaginął. Co z nim?

– Nie powiedziałem panu całej prawdy, naczelniku – odrzekł Feltz. – Mój brat nie zaginął. Wiem, gdzie jest. A raczej – gdzie był.

– Naprawdę? – Kejora musiał przedłużać rozmowę, jak tylko się dało. Odgłosy strażaków w „Rdzeniu” automatycznie aktywowały kilkanaście różnych bezgłośnych alarmów. Niedługo zewsząd przybędą do Lodowni oddziały bezpieczeństwa.

Dotarcie na miejsce zajmie im jednak wiele czasu, a Kejora zdawał sobie z tego sprawę. Będą mieli trudności z dostaniem się bezpośrednio do „Rdzenia” z powodu trwającego egzaminu

końcowego. Przyjdzie im stoczyć walkę z tymi samymi przeciwnikami, któremu stawiali czoło rekruci.

Kejora zwątpił, że uda mu się w tym czasie powstrzymać Feltza, zanim ten go zabije.

– Mój brat był tutaj, naczelniku. W Lodowni, pod pana opieką. Odgłos podwójnego kliknięcia odbił się w pomieszczeniu echem, kiedy Feltz wprowadzał naboje do komór pistoletów. – Zdobycie tej informacji kosztowało mnie wiele czasu i pieniędzy. *Bardzo wiele*. Nawet pan sobie nie wyobraża.

– Może poprosisz o zwrot kosztów? Jesteś pierwszym Feltzem, który tu trafił.

Głos żniwiarza przebił się przez odległe odgłosy walk. – Nie widzi pan podobieństwa rodzinnego? Ci, którzy zginęli podczas szkolenia, nie zasługują na pamięć? Nie dziwię się.

– Pamiętam każdego więźnia.

– Nawet nieudaczników? Tych, którzy okazali się zbędni?

– Ich przede wszystkim.

Głos Feltza stał się lodowaty. – Mój brat nazywał się Dennis Staton.

Dennis Staton? Zginął już podczas pierwszego tygodnia szkolenia – siódma porcja mu nie posmakowała i kilka z jego najważniejszych narządów zamieniło się w breję. To nie była wielka strata. Dennis Staton był niczym się nie wyróżniającym, niepotrzebnym rekrutem.

Kejora postanowił jednak pominąć te szczegóły. – Dałem twojemu bratu szansę. Taką samą, jaką dostałeś i ty. Po prostu mu się nie poszczęściło.

– Mój brat nigdy nie dostał *żadnej* szansy – odparł Feltz. Działanie stymulantów dobiegło końca. Jego głos zdrzął od nagłego spadku koncentracji, ale słowa wciąż były pełne jadu. – *Żadnej* od ciebie. Ani od nikogo innego.

– Mylisz się.

– Wiem, w co się pakowałem. Byłem *gotowy*. On nie był. – Wycie silników odrzutowych żniwiarza niespodziewanie przybrało na sile. Feltz przygotowywał się do decydującego kroku. – Ty zresztą też nie jesteś. Przybył ponury żniwiarz – śmierć we własnej osobie. Czas, abyś spłacił dług.

– Dług? Jaki dług? – Kejora zacisnął palce na rękojeści pistoletu. – Miał być stracony, Feltz...

– Nazywam się Staton.

– Twój brat był przestępcą, Staton, na dodatek niezbyt bystrym. Gdyby panował nad sobą choć trochę tak jak ty, spędziłby w więzieniu zaledwie kilka tygodni za drobną kradzież – powiedział Kejora. – Zamiast tego zabił dwóch cywili za garść kredytów i nie oddalił się nawet o trzy przecznice, gdy dorwali go stróże prawa.

– On był moim bratem. Zasługiwał na coś lepszego od twojej prywatnej dziury.

– Moja prywatna dziura *działa*. – Kejora rozejrzał się po pomieszczeniu, szukając drogi ucieczki. Żadna nie była dobra – wszystkie wiodły przez otwartą przestrzeń. – Powiedz mi, że tak nie jest. Powiedz mi, że nie uczyniłem z ciebie jednego z najskuteczniejszych zabójców w historii galaktyki.

– Moje gratulację, wykonał pan świetną robotę, naczelniku. – Odgłos silników odrzutowych w kombinezonie Feltza rozbrzmiewał niesamowicie głośno w niewielkiej przestrzeni. – Oto dowód mojej wdzięczności.

Kejora zamknął oczy. Biurko nie zdołałoby go ochronić przed długotrwałym ogniem z broni palnej. Nie miał szans niepostrzeżenie wymknąć się Feltzowi bez wchodzenia mu pod lufę.

Był w pułapce.

W „Rdzeniu” rozległ się zagłuszający huk wystrzałów z pistoletu Gaussa, a biurko zadrżało i wygięto się od uderzającego w nie gradu kul. Drugi P-45 otworzył ogień.

Potem trzeci. I czwarty.

Co?

Hałas ucichł i Kejora usłyszał, jak ciało w kombinezonie osuwa się na posadzkę.

Pozostał skulony za biurkiem.

– Naczelniku?

To był inny, lecz znajomy głos. Kejora się uśmiechnął. – Lords?

Z luf dwóch pistoletów Gaussa Liska ulatniał się dym. – Tak jest, panie naczelniku.

– Dobra robota, rekrucie. – Kejora wstał z posadzki.

Feltz – dla Kejory on zawsze będzie *Feltzem*, a nie *Statonem* – leżał na boku, plecy miał podziurawione od kul. Kejora klęknął obok Feltza i ostrożnie zdjął rekrutowi z głowy kask i maskę. Jasnoczerwona krew tętnicza pieniała się z każdym coraz słabszym, coraz płytszym i zdławionym oddechem.

W oczach Feltza można było dostrzec szok i zmieszanie. Spróbował obrócić głowę do Liska, z gardła dobył tylko niezrozumiały bulgot.

Kejora poklepał Feltza po ramieniu. W pewien sposób, kiedy przełamał blokadę Lodowni, znacznie przewyższył oczekiwania naczelnika co do programu. Dokonał tego, o dziwo, w sytuacji bojowej, z umysłem zmaconym narkotykami. Zlokalizował i osaczył swój cel, przechytrzywszy przy tym liczne systemy zabezpieczeń, zaprojektowane tak, aby nie dopuścić do takiej właśnie sytuacji.

To był dowód, że sprowadzanie lepszych rekrutów do Lodowni miało sens. Gdyby Kejorze udało się przedstawić ten pomysł samemu Imperatorowi Mengskowi, mógł dostać, jeszcze przed końcem miesiąca, poborowych wyższego stopnia. Program zajęć wymagałby oczywiście kilku poprawek, ale było to do przewidzenia.

Drugi żniwiarz wpatrywał się w Feltza z pełnym ciekawości wyrazem twarzy. – Dlaczego to zrobiłem, panie naczelniku? Wydaje mi się, że to był mój przyjaciel.

– Lords, jesteście żniwiarzem – odpowiedział Kejora.

Lisk w ciszy rozważył te słowa, patrząc, jak oczy Feltza zachodzą mgłą. W końcu żniwiarz kiwnął głową.

– Robię to, co do mnie należy.

Prawdy należy szukać wyłącznie w zwycięstwie. Wszystko inne przemija niczym dym na wietrze. – Dziewiąta reguła Lodowni